wolnelektury.pl

E. T. A. Hoffmann
(tłum. Antoni Lange)

Piaskun



E. T. A. HOFFMANN

POWIEŚCI FANTASTYCZNE

Piaskun[1]

TŁUM. ANTONI LANGE

I. NATHANAEL DO LOTARA

Pewnie jesteś niespokojny, że tak dawno nie pisałem. Matka musi się gniewać, a Klara myśli, że się tu bawię, zapominając o niej. A przecież nie ma dnia, nie ma godziny, żebym nie myślał o was wszystkich, a piękna twarzyczka mojej Klary wydaje mi się zawsze jak słodkie, uśmiechnięte marzenie, choć wiem, że naprawdę istnieje i że mnie z utęsknieniem wygląda. Doprawdy, nie wiem nawet, jak ci wypowiedzieć wrażenia, od których jeszcze w tej chwili zmysły mi się plączą. Coś straszliwie dziwnego zdaje się targać wątek mojego życia. Ponure przeczucia jakiejś przeszłości pełnej grozy gromadzą się zewsząd koło mnie, podobne do nawału czarnych i nieprzenikliwych obłoków, nie dopuszczając ani płomyka jasności do skołatanej głowy. Jakimiż słowy zdać ci sprawę z tego, co mi się w tych dniach zdarzyło? Umiem wiele wymóc na sobie, ale na samą myśl o tym, co ci mam opowiedzieć, słyszę we własnej duszy śmiech gorzki i szalony. O mój drogi Lotarze, jak ci tu dać pojąć całą okropność tego wydarzenia? Gdybyś przynajmniej sam na to patrzył, nie zadałbyś mi fałszu w oczy; ale z daleka wziąć mnie możesz za jasnowidza i szaleńca. Jednym słowem,wypadek, z którego wpływem złowróżbnym dotąd się jeszcze daremnie mocuję, jest po prostu następujący:

Dni temu kilka (stało się to 30 października), około południa, wszedł do mnie pewien optyk wędrowny, częstując mnie przedmiotami swojej sztuki. Nie kupiłem nic i zagroziłem mu nawet, że go wypchnę za drzwi. Na te słowa wyniósł się z dobrej woli.

Zgadujesz, że tylko pewne okoliczności, ściśle związane z moim życiem, mogą nadać niejakie znaczenie temu, tak z siebie powszedniemu wypadkowi, dowiesz się zaś niebawem, ile zgubnego wpływu wywiera na mnie osoba owego przeklętego włóczęgi. Potrzebuję niemało sił i władzy nad sobą, żebym ci mógł z jako takim ładem opowiedzieć jeden ustęp z wspomnień mego dzieciństwa; wyjaśni ci to całą okropność obecnego mego z tym człowiekiem spotkania.

Wyobrażam sobie, jak się oboje z Klarą śmiejecie z tej przedmowy. Co za dziecinada, mówicie z politowaniem. Śmiejcie się, proszę was; żartujcie sobie, ile wam się podoba, owszem, błagam was o to. Bo co do mnie, Boże wielki! śmierć gości w mojej duszy i jeśli wyśmianym być pragnę, to nie inaczej, jak Franciszek Moor[2], który się o to sam Daniela dopraszał. Przyśnił mu się straszliwy obraz sądu ostatecznego i obudził się oszalały od trwogi. — Nieprawdaż, powiada on, że sny są wierutną niedorzecznością? Danielu, śmiej się ze mnie. Dlaczego się nie śmiejesz? — Panie, rzecze Daniel pełny trwogi, a Franciszek dodaje: — O, przez Boga, Danielu, powiedz mi, żem jest półgłówek. O mój dobry Danielu! Zaklinam cię na wszystko, śmiej się ty ze mnie!

Śmiech

Ale przystąpmy do rzeczy.

W dzieciństwie naszym nigdy prawie w ciągu dnia nie widzieliśmy ojca, niekiedy tylko jadał z nami obiad. Było rzeczą wiadomą, że obowiązki urzędowania zajmowały mu wszystkie chwile. Po wieczerzy, która stosownie do dawnego obyczaju bywała o siódmej,

Ojciec

[1]*Piaskun* — tytuł polskiego tłumaczenia, stanowiącego podstawę niniejszej publikacji, brzmi *Człowiek z piasku*. Późniejsza tradycja utrwaliła jednak nazwę *Piaskun*. Piaskun, zwany też piaskowym dziadkiem, to postać z niemieckich baśni. Sypie dzieciom piaskiem w oczy, aby zasnęły. [przypis edytorski]

[2]*Franciszek Moor* — bohater dramatu *Zbójcy* Friedricha Schillera. [przypis edytorski]

szliśmy z matką do pokoju ojca i zasiadaliśmy przy okrągłym stole. Wtedy ojciec palił sobie fajkę i popijał piwo z dużej szklanki. Często opowiadał nam dziwne zdarzenia i to z takim zapałem, że raz wraz gasła mu fajka. Do mnie zaś należało zapalać ją bezustannie, co czyniłem z wielkim upodobaniem. Niekiedy znowu dawał nam tylko do oglądania książki pełne obrazków, sam zaś siedział w krześle, milczący i bez ruchu, puszczając tak ogromne kłęby dymu, żeśmy się zdawali pływać w obłokach. Wtedy matka bywała smutna i zadumana, i skoro zegar wybił dziewiątą:

— Chodźcie już, chodźcie, dzieci, — mówiła do nas — czas spać iść, czas do łóżka. *Piaskun* idzie. Słyszycie?

W istocie, słychać było wtedy kogoś idącego po schodach krokiem powolnym i ciężkim. Był to zapewne *piaskun*.

Pewnego dnia głuche to stąpanie przestraszyło mnie bardziej niż zwykle, rzekłem więc do matki, podczas kiedy mnie wyprowadzała:

— Mateczko, co za jeden ten brzydki *piaskun*, co nas zawsze wypędza od ojca? Jak on wygląda?

— Nie ma żadnego piaskuna — odpowiedziała mi matka. — Kiedy wam powiadam: *piaskun* idzie, to znaczy po prostu: że wam się spać chce i że nie możecie więcej trzymać oczu otwartych, tak właśnie, jakby wam kto w nie piaskiem rzucał.

Strach, Obyczaje, Dzieciństwo

To objaśnienie nie zadowoliło mnie bynajmniej: wyobraziłem sobie tylko, że matka nie chce nas straszyć, ale że *piaskun* istnieje rzeczywiście, skoro go co dzień słychać, jak idzie po schodach.

Dziwnie spragniony dowiedzieć się czegoś prawdziwego o nim i jego do nas stosunku, począłem raz wypytywać o to starą służącą naszego domu.

— *Piaskun*? — rzekła — To ty nie wiesz jeszcze, co to za jeden? To taki niegodziwiec, który przychodzi na zawołanie, kiedy dzieci spać iść nie chcą, i rzuca im garściami piasek w oczy, aż dopóki z głowy nie wyjdą; wtedy je pakuje do worka i niesie na księżyc dla swoich dzieci. Te zaś nie wyłażą nigdy z gniazda, i mają jak sowy ogromne dzioby zakrzywione, którymi łapczywie zjadają owe oczy, powydzierane nieposłusznym dzieciom.

Ten obraz okrutnego stracha z piasku niezmiernie utkwił mi w głowie. Wyobraźnia moja z dniem każdym dodawała do niego szczegóły, coraz bardziej przerażające. Odtąd, na sam odgłos kroków po schodach, drżałem i robiło mi się niedobrze. Żadne najczulsze słowa matki nie były w stanie uspokoić mojej obawy i na wszystko odpowiadałem tylko ze łkaniem: *piaskun*! Ja nie chcę *piaskuna*. Po czym uciekałem co prędzej do łóżka i, nakrywszy głowę, przez całą noc umierałem ze strachu, dręczony prześladowaniem widziadła nawet we śnie.

Z czasem sam własną głową zastanawiać się począłem nad tym, że objaśnienia starej sługi niewiele przedstawiały prawdopodobieństwa. Zawsze jednak *piaskun* przestraszał mnie niemało. Czułem dreszcz po wszystkich członkach, nie już od stąpania po schodach, ale słysząc jak się z trzaskiem otwierają drzwi pokoju mego ojca i jak ktoś do niego wchodzi. Niekiedy ten *ktoś* czas jakiś nie przychodził wcale, niekiedy znów bardzo często.

Trwało tak lat kilka i, pomimo że już podrastałem, ani podobna mi było oswoić się z tym wrażeniem. Obraz *piaskuna* nie dawał się zatrzeć niczym w świecie. Stosunki jego z moim ojcem dręczyły mnie coraz mocniej, a jednak za nic pod słońcem nie byłbym się odważył stawiać mu w tym względzie pytania. Opanowała mnie żądza wyjaśnienia tej tajemnicy własnym pomysłem i ujrzenia własnymi oczyma straszliwego widziadła; żądza ta wzmacniała się we mnie z biegiem lat. Przeczuwałem w tym cały świat tajemnic, dziwnych wpływów i zagadkowych cieni, który zgłębić wyrywała się moja dusza. Lubiłem wprawdzie i dawniej opowiadania o czarownikach, wilkołakach i upiorach, ale od czasu jak mnie opętał *piaskun*, nie było stołu, ściany, szafy, na której bym go nie rysował bezwiednie kredą lub węglem, nadając mu rysy najosobliwsze, a zawsze bardzo straszne.

W dziesiątym roku życia przeniesiono mnie z izby dziecinnej. Matka przeznaczyła mi osobny pokoik niedaleko. Zawsze o dziewiątej, tak jak i wprzódy, ile razy dały się słyszeć kroki nieznajomego na schodach, trzeba się było wynosić co najprędzej. Z izdebki mojej słychać było, jak wchodził do pokoju ojca, i wkrótce dolatywała mnie woń jakichś gęstych wyziewów, którymi niebawem wypełniał się dom cały. Wtedy budziłem w sobie odwagę, którą i tak już coraz więcej podsycała żądza dowiedzenia się jakimkolwiek kosztem, kto to jest ten *piaskun*. Niekiedy po wyjściu z matką zakradałem się w korytarzu; zawsze jednak

bezskutecznie. *Piaskun* był już zawsze u mego ojca, zanim zdążyłem stanąć na miejscu. Wreszcie, nie mogąc sobie dać już rady, wymyśliłem skryć się w pokoju ojca.

Pewnego wieczora milczenie ojca i smutek matki zapowiedziały mi znowu odwiedziny *piaskuna*. Udając zmęczenie, wymknąłem się przed dziewiątą i zakradłem się w kącie tuż przy drzwiach. Zaraz zaskrzypiały drzwi od ulicy i ktoś zaczął powoli, ciężkim krokiem, iść po schodach. Podczas kiedy matka odchodziła z dziećmi młodszymi, ja, ostrożnie drzwi otworzywszy, wśliznąłem się nazad do pokoju. Ojciec siedział jak wprzódy, tyłem ku drzwiom, milczący, nieruchomy, zadumany. Przekonawszy się, że nie wie o niczym, schowałem się pomiędzy firankę i szafę od sukien, kroki zbliżały się ciągle. Idący pokaszliwał, chrząkał, szedł bardzo powoli, zdawało się, że nigdy nie nadejdzie. Umierałem ze strachu i niecierpliwości.

Wreszcie usłyszałem kroki już w korytarzu. Po chwili silnie uderzono w klamkę i drzwi się otworzyły z trzaskiem. Zebrałem całą przytomność i wytknąłem głowę, jak mogłem najostrożniej. Otóż i *piaskun* stoi na środku pokoju, blask świec w twarz mu uderzył. Cóż widzę! *Piaskun*, ów straszny piaskun, toż to nie kto inny, tylko stary adwokat Koppelius, często na obiad do nas przychodzący.

Gość

A jednak najbardziej przerażająca postać nie tyle mnie trwożyła, co ten przeklęty Koppelius. Wystaw sobie niewielkiego człowieka z szerokimi ramionami, ogromną głową, twarzą żółtą, jakby z piasku, krogulczym nosem oraz gęstymi, szarymi brwiami, pod którymi błyszczały zielone, jakby kocie oczy. Wpadnięte jego usta otwierały się czasem do uśmiechu i wtedy szczękały w nich zęby, a na policzkach wykrawały mu się wypieczone, nie większe od złotówki rumieńce. Nosił on nieodmiennie suknię popielatą, staroświeckiego kroju, podobnież spodnie i kamizelkę oraz czarne pończochy i trzewiki ze sprzączkami. Maleńka jego peruka, ujęta w worek mocno skrępowany, sterczała z przodu, jak dwa skrzydła, z tyłu zaś jak ogon podniesiony w górę. W ogóle był okropny i odrażający, ale osobliwszy wstręt w nas pobudzały porosłe włosem i guzowate palce tego człowieka; tak że uważaliśmy za rzecz do wyrzucenia, czego się tylko raz dotknął. Spostrzegł to, i odtąd uwziął się obmacywać z jakiego bądź powodu ciasta lub owoce, które nam matka wydzielała przy obiedzie lub chowała na podwieczorek. Pobudzało nas to do ostatniej rozpaczy. Robił podobnież z winem, któreśmy od ojca dostawali w dni świąteczne. Dotykał kieliszków, albo je brał i przytykał sobie do swojej szkaradnej, sinej paszczęki, śmiejąc się po szatańsku, kiedy widział, żeśmy się wzdrygali. Nie nazywał nas inaczej jak *robakami*. W jego obecności nie śmieliśmy nieledwie oddychać, przeklinając w duszy obrzydliwca, śmiertelnego naszego wroga, który się uwziął zatruwać nam wszelkie przyjemności życia. Matka zdawała się równie go nienawidzić. Ile razy się pojawił, traciła wesołość, stawała się zamyślona, posępna. Co do ojca, to ten wyraźnie uważał w nim jakąś wyższą istotę; skwapliwie uprzedzał wszystkie jego chęci, zdawał się nieledwie czytać w jego oczach. Niech tylko wspomniał przypadkiem o jakiej ulubionej potrawie, zaraz mu ją sporządzano; najrzadsze wina, najzbytkowniejsze łakocie, wszystko było na jego usługi.

Widząc w tej chwili owego Koppeliusa, uczułem straszliwe światło w duszy. Tak jest, on tylko jeden mógł być tym *piaskunem*. Tylko że nie było to już więcej straszydło z bajki, wydzierające dzieciom oczy dla zjedzenia ich na księżycu. Nie, tym razem to jest okropne, niezmyślone widmo, wszędzie noszące ze sobą grozę, nieszczęście i zgubę doczesną i wieczną.

Byłem jak przykuty do miejsca. Jakkolwiek mogłem być dostrzeżony i, jak mniemałem, ukarany surowo, żadnym sposobem nie byłem w stanie głowy cofnąć z powrotem.

Mój ojciec przyjął przybysza nader uroczyście.

— No! Do roboty — zawołał tenże głosem chrypiącym, zdejmując suknię.

Obrzędy

Ojciec, nie odpowiedziawszy słowa, zdjął także szlafrok i obaj wdziali na siebie długie szaty czarne. Skąd je wzięli? Nie mogłem dociec. Za chwilę otworzyły się w ścianie drzwi od szafy, to jest sądziłem dotąd, że istotnie były drzwiami od szafy; ale z nagła pokazało się, że stanowiły wejście do ciemnej jakiejś alkowy, wyglądającej jak czarna pieczara, na której środku ustawiony był piecyk. Zbliżył się do niego Koppelius i niebawem rozniecił płomień błękitnawy. Stało tam Bóg wie ile przyrządów po wszystkich kątach. Boże miłosierny, jakże mój ojciec wyglądał pośród tego wszystkiego. Jakiś straszliwy, konwulsyjny niepokój zdawał się tak dziwnie wykrzywiać jego rysy zwykle słodkie i szlachetne, że wy-

glądało, jakby miał na twarzy złośliwą maskę kusiciela szatana. Stał się nawet podobny do Koppeliusa. Ten ostatni tymczasem krzątał się nieustannie wokoło piecyka, mając w ręku rozpalone obcęgi, którymi wyciągał stamtąd bryłki jakieś iskrzące w gęstym dymie, a następnie kuł je na kowadle z wielkim pośpiechem i bardzo bystrą uwagą. Zdawało mi się, że widziałem wokoło wiele porozrzucanych twarzy ludzkich, ale bez oczu; głębokie, czarne, straszliwe dziury zastępowały ich miejsce. Oko

— Oczu! oczu! — wołał ciągle Koppelius, głosem zarazem głuchym i grzmiącym.

Przejęty niewypowiedzianym strachem, krzyknąłem i padłem na ziemię. W oka mgnieniu schwycił mnie Koppelius.

— Ach! przeklęty robaku — zawołał, zgrzytając. I porwawszy mnie w powietrze, rzucił na ognisko piecyka tak, że płomień zaczął mi zajmować włosy.

— Ach! Mamy przecie oczy, śliczne, wyborne oczy! — mruknął do siebie, biorąc w palce rozżarzone węgle, które się zabierał przytknąć mi do oczu.

Wtedy doskoczył ojciec i zatrzymał mu rękę.

— Mistrzu, mistrzu, zostaw mu oczy, nie bierz ich, zaklinam cię!

Koppelius wybuchnął okropnym śmiechem.

— Ha! ha! To niech je sobie ma wreszcie, ten łobuz, żeby mógł płakać co najwięcej. Ale za to zbadamy przynajmniej mechanizm rąk i nóg.

To powiedziawszy, schwycił mnie tak silnie, że mi trzasły wszystkie stawy. Zaczął mi wykręcać ręce i nogi, to tam, to nazad, to w tę stronę, to w drugą, cierpiałem okropnie, alem ani pisnął.

— Nie, to się na nic nie zdało, przedtem było daleko lepiej; cóż ty na to mówisz, stary?

Tak prawił Koppelius. Co do mnie, uczułem wokoło gęste ciemności, przebiegł mnie dreszcz i wkrótce nie wiedziałem już o niczym.

Kiedym się ocknął, matka stała przy mnie.

— Czy *piaskun* jest tu jeszcze? — szepnąłem.

— Nie, moje dziecko, poszedł już dawno, już ci nie zrobi nic złego.

Mówiąc to, uściskała mnie czule, ze łzami w oczach.

Koniec końcem, oto, co się pokazało w następstwie. Z przestrachu dostałem niebezpiecznej gorączki, która mnie zatrzymała w łóżku przez kilka długich tygodni. Zapytanie moje było pierwszym słowem, które wymówiłem od czasu powrotu do rozumu, do zdrowia, jednym słowem — do życia. Pozostaje już tylko do opowiedzenia jeden z najstraszliwszych ustępów mojej młodości. Wtedy przekonasz się, Lotarze, że to nie jest żadne przywidzenie z mej strony, ale że istotnie coś większego zwiesza ponad moim życiem tę zasłonę chmur złowróżbnych, której może nie zdołam przedrzeć do śmierci.

Koppelius nie pokazał się więcej. Mówiono, że się wyniósł z miasta.

Tak upłynął z rok może. Pewnego wieczora siedzieliśmy po dawnemu wokoło stołu. Ojciec był bardzo ożywiony i opowiadał rozmaite zajmujące szczegóły z podróży, które odbył w młodości. W tym uderzyła dziewiąta. Nagle drzwi od ulicy skrzypnęły na zawiasach i wkrótce ktoś po schodach iść zaczął krokiem ciężkim i powolnym.

— To Koppelius! — szepnęła matka, blednąc.

— Tak, to Koppelius — powtórzył ojciec głosem słabym i złamanym. Łzy błysnęły w oczach matki.

— Ależ, mój mężu — ośmieliła się zrobić uwagę — czyż to znowu powraca?

— Ostatni to już raz, przyrzekam ci. No, odejdź i zabierz dzieci. Idźcie spać, dobranoc wam.

Zdawało mi się, jakby mi kto zwalił na piersi całe brzemię zimnych kamieni; tchu mi zabrakło. Widząc to, matka wzięła mnie na ręce.

— Chodź, chodź, Natanaelu, chodź, mój mały.

Kiedyśmy już byli w sypialni, zaczęła mnie całować i pieścić.

— Uspokój się, uspokój, moje dziecię, mówiła, zmów pacierz, połóż się i zaśnij.

Ale dręczony niepokojem i niewypowiedzianą trwogą nie mogłem zmrużyć oka. Odrażający, straszliwy Koppelius uparcie stał przede mną, z błyszczącymi jak próchno oczyma, z drwiącym swoim uśmiechem. Na próżno się starałem oddalić od siebie to widmo.

Było już około północy, kiedy nagle rozległ się wśród ciszy huk niesłychany, jakby wybuch rozerwanego działa. Zatrząsł się dom cały. W tejże chwili przeszedł ktoś z łoskotem wzdłuż korytarza, zbiegł ze schodów i niebawem trzaśnięto drzwiami, wychodzącymi na ulicę.

— To Koppelius! — zawołałem przejęty zgrozą i wyskoczyłem z łóżka.

W tejże chwili usłyszałem rozdzierające krzyki rozpaczy. Poskoczyłem do pokoju mojego ojca, od którego drzwi zastałem otwarte. Wychodził stamtąd dym duszący.

— Ach! Nasz pan! Nasz dobry pan! — wołała służąca.

Tuż przed dymiącym ogniskiem, na podłodze, leżał trupem mój ojciec, mając twarz całą czarną i popaloną okrutnie. Wokoło niego płakały małe siostry i matka zemdlała.

— Koppeliusie! Przeklęty szatanie! Toś ty mi zabił ojca! — wołałem i straciłem przytomność.

Kiedy w dwa dni potem złożono ojca w trumnie, rysy jego odzyskały po dawnemu słodycz i pogodę. To mi było niemałą pociechą. Przekonałem się bowiem, że jego stosunek z Koppeliusem nie pociągnął go do zupełnej, wiekuistej zatraty.

Wybuch rozbudził wszystkich sąsiadów. Rzecz doszła nawet do wiadomości władzy. Chciano Koppeliusa pociągnąć do odpowiedzialności, ale gdzieś przepadł bez śladu.

Jeżeli ci powiem teraz, że ów optyk wędrowny, który mnie obecnie nawiedzał, nie był kim innym, jak Koppeliusem, to spodziewam się, że nie weźmiesz mi za rzecz płonną ani mej obawy, ani smutku. Był tylko inaczej ubrany, ale co się tyczy rysów jego twarzy, wreszcie całej nawet postaci, aż do ruchów ciała, nazbyt go chowam w żywej pamięci, żebym się mógł omylić. Przy tym nie zmienił nawet nazwiska. Powiadano mi, że się podaje za mechanika piemonckiego nazwiskiem: Giuseppe Coppola.

Postanowiłem, bądź co bądź, walczyć z tym człowiekiem do upadłego. Śmierć mego ojca pomszczona być musi.

Nic o tym wszystkim nie mów mojej matce. Serdecznie pozdrawiam moją dobrą Klarę. Napiszę do niej, jak będę spokojniejszy. Żegnam Cię.

II. KLARA DO NATHANAELA

Prawda, żeś do mnie dawno nie pisał, wiem jednak, że mnie zawsze chowasz w swym sercu. Co większa, widzę, że w każdej chwili myślisz o mnie, kiedyś aż list pisany do Lotara wysłał pod moim adresem. Otworzyłam go z nieopisaną rozkoszą i dopiero zaczęcie jego: — „Kochany Lotarze", wywiodło mnie z błędu. Co prawda, zamiast go czytać dalej, należało oddać bratu, ale tego nie potrafiłam. Jak często wyrzucałeś mi w przystępie złego usposobienia, że, jak na młodą dziewczynę, nazbyt we wszystkim rozumuję, nazbyt hołduję rzeczywistości. Nieraz żałowałeś, żem zdolna zrobić jak ta kobieta, która, uciekając z zapadającego się domu, jeszcze poprawiała fałdy w firankach. Z tym wszystkim, wierz mi, początek twego listu dziwnie mnie przeraził. Ach! Mój drogi Nathanaelu, nie umiem ci wypowiedzieć, co się ze mną działo. Co? Cóż to się takiego stało? Jakiż to straszliwy wypadek do tego stopnia struł ci życie? Pierwsza myśl moja była, że mi cię ktoś odbiera, że cię więcej nie ujrzę; życie uciekało ze mnie od wrażenia tej myśli, daruj mi tedy, żem czytała dalej. Czytałam i odczytywałam bez końca. Twój opis tego niegodziwego Koppeliusa jest okropny; nic też dotąd nie wiedziałam o rodzaju śmierci twego nieszczęśliwego ojca. Lotar, kiedym wreszcie list oddała, usiłował mnie uspokoić, ale na próżno. Przeklęty optyk wędrowny stał mi ciągle na oczach; we śnie nawet, wyznam ci ze wstydem, po raz pierwszy w życiu doświadczyłam koszmarów. Wkrótce jednak, bo już nazajutrz, umysł mój wrócił do zwykłej spokojności. Nie gniewaj się, mój najdroższy, jeśli ci Lotar doniesie, że pomimo twych dziwnych przywidzeń, zachowałam po dawnemu wesołość i spokój duszy.

Muszę wyznać otwarcie, żem jest tego przekonania, iż wszystkie okropności, o których mówisz, wprost odbywały się wewnątrz twego mózgu; rzeczywisty zaś świat zewnętrzny najmniejszego w tym nie brał udziału. Stary Koppelius mógł być sobie porządnie odrażający i ponieważ nie cierpiał dzieci, ten jego wstręt mógł w was z postępem czasu rozbudzić prawdziwą zgrozę. Rzecz prosta, że się do tego niemało przyłożyć mogła i myśl o *piaskunie* zasłyszanym w bajce. Podrastając, mogłeś przestać wierzyć w *piaskuna*, niemniej jednak przestraszał cię Koppelius, boś miał do niego wstręt nabyty. Jego tajem-

ne nocne schadzki z twym ojcem nie miewały zapewne innego celu, jak doświadczenia alchemiczne, którym twoja matka niezbyt mogła być rada, raz dlatego, że bezużytecznie pochłaniały niemało pieniędzy, a po wtóre, że jak zwykle bywa w takich razach, ojciec twój, nazbyt się oddając marnym ułudom zdobycia bogactw i ciemnej mądrości, pod wpływem tej żądzy zaniedbywać musiał rodzinę. Co się tyczy śmierci twego ojca, ośmielam się mniemać, że była tylko owocem nieostrożności i że Koppelius nic w tym nie był winien. Czy uwierzysz, żem się w tym względzie rozpytywała naszego sąsiada aptekarza, bardzo doświadczonego chemika. Powiedział mi, że w istocie zdarzają się wypadki pęknięcia retort[3], skutkiem czego można znaleźć śmierć niespodzianą.

Być może, że się gniewać będziesz na twoją Klarę i powiesz: do tej zimnej duszy nie przeniknie nigdy promień przeczucia tej tajemniczej siły, która często chwyta życie człowiecze w niewidzialne ramiona. Nie dalej ona widzi, jak tylko tęczową powierzchnię rzeczy ziemskich, i cieszy się jak dziecię owocem, którego łupina błyszczy pozłocisto, choć w głębi jego kryje się śmiertelna trucizna.

Ach, mój drogi Nathanaelu, wierz mi, że nawet w duszy jak moja, pustej bez troski, niedbałej o jutro, zbudzić się może przeczucie nieznanej, niebezpiecznej potęgi, która się sprzysięgła zgubić człowieka, aż do rdzenia jego istoty. Przebacz mi, że taka, jaką mnie znasz, prochu nieumiejąca wymyślić dziewczyna, ośmielam się wypowiedzieć otwarcie, co myślę o tej dziwnej walce, która się, mniej lub więcej silnie, nieustannie jednak odbywa w naszej duszy. Może nie znajdę na to odpowiednich wyrażeń i śmiać się ze mnie będziesz, nie żeby zdanie moje było śmieszne, ale że wymowa nie po temu. Koniec końców jednak, oto, co sądzę o tym wszystkim.

Istnieje jakaś tajemnicza potęga, usiłująca nieustannie oplątać nasze istnienie, celem pociągnięcia go na niebezpieczną drogę, której byśmy nie wybrali bez jej wpływu. Na to potrzebuje wcielić się w kształty odpowiednie naszej naturze, jednym słowem stopić się z naszą osobistością, gdyż w przeciwnym razie rzecz by jej się nie udała. Jeżeli umysł nasz dostatecznie się już wzmógł na siłach doświadczeniem, tak, że na pierwszy rzut oka potrafi rozpoznać wszelki wpływ obcy sobie i zgubny i tyle być panem siebie, żeby się nie dać zbić z drogi, odpowiedniej swym skłonnościom i powołaniom, to władza ta dziwna nie zdoła nigdy przybrać kształtów określonych, które po większej części bywają tylko własnym naszym obrazem, jakby odbitym w zwierciadle.

Choć znowu nic pewniejszego (jak mi powiadał Lotar), że byle się tylko poddać wpływowi tej władzy, potrafi ona wprowadzić do naszej duszy również i obce obrazy, brane z świata zewnętrznego, które w dziwnym jakimś oszołomieniu sami ożywiamy własną wolą, dobrowolnie tym sposobem dopomagając naszej zgubie. Zawsze to własna nasza osobistość jest tu działaczem głównym; tylko że stosownie do kierunku, jakiemu się poddaje, równie nas w niebo wynieść, jak i do piekła zaprowadzić może. Poznasz z tego, drogi Nathanaelu, jakeśmy tu pracowicie o tym wszystkim rozprawiali z Lotarem. Zasady naszej teorii wydają mi się warte twego zastanowienia. Nie ze wszystkim rozumiem to, co z objaśnień Lotara spisałam w końcu: czuję jednak, że i w tym tkwi prawda głęboka. Proszę cię na wszystko, nie myśl więcej o tym brzydkim adwokacie ani o tym wędrownym optyku. Upewniam cię, że najmniejszej władzy mieć nad tobą nie mogą. Jedynie wiara twoja w ich potęgę może ich zrobić prawdziwie niebezpiecznymi. Doprawdy, gdyby nie zasmucający ton twojego listu oraz współczucie dla twego strapienia, czułabym się zdolna pożartować sobie z tego *adwokata-piaskuna* i zarazem wędrownego przekupnia. Dobrej myśli, wesołości, mój panie. Ułożyłam sobie, że ci będę Aniołem-stróżem i że koniecznie wyśmieję z twojej wyobraźni tego brzydasa Coppolę czy Koppeliusa. Upewniam cię, że się go nie boję ani trochę, a nawet nic sobie nie robię z jego rąk guzowatych. Nie dam mu ani moich konfitur, jeśli zechce być adwokatem, ani moich oczu, jeśli się przeobrazi w *piaskuna*. Do zobaczenia mój najdroższy. Kocham cię jak zawsze, twoja do zgonu.

III. NATHANAEL DO LOTARA

Przykro mi bardzo, że Klara przeczytała list do ciebie pisany. Przeklęte roztargnienie stało się tego przyczyną.

[3]*retorta* — okrągłe naczynie używane dawniej w laboratoriach. [przypis edytorski]

Odpisała mi na to w sposób bardzo głęboki i sceptyczny, dowodząc jasno jak na dłoni: że Koppelius i Coppola są tylko wyrobem mojej wyobraźni, że to tylko widziadła własnej mojej osobistości, które się rozpierzchną, jeśli się zdobędę uznać je za złudzenia.

Nikt by się nie domyślił, wnosząc z jej powłóczystego, melancholijnego spojrzenia, do jakiego stopnia rozumek mieszkający w jej pięknej główce zdolny jest stawiać zasady, klasyfikować kategorie i robić logiczne wywody. Odwołuje się do twego sądu, utrzymując, że oboje o tym rozmawialiście. Mógłbym myśleć, że jej wykładasz początki filozofii. Daj temu spokój.

Mizoginia, Kobieta

Zresztą, okazało się rzeczą pewną: że optyk Coppola nic nie ma wspólnego z adwokatem Koppeliusem. Właśnie uczęszczam na wykład fizyki sławnego Spallanzaniego, będącego, jak wiesz, Włochem. Koppelius zaś był Niemcem.

Bądź co bądź, nie uspokoiłem się jeszcze w zupełności. Miejcie mnie sobie za co chcecie, ale niepodobna mi pozbyć się na zawołanie wrażenia, jakiego doznałem na widok tego przeklętego Coppoli. Szczęście, że się już wyniósł z miasta; wiem to od Spallanzaniego.

Ten Spallanzani to także dziwna figura. Niewielkiego wzrostu, szczupły, z wystającymi kośćmi policzkowymi, cienkim nosem, obwisłymi ustami, przeszywającym wzrokiem. Zresztą, jeśli chcesz mieć dokładniejsze jeszcze o nim pojęcie, wyszukaj sobie w berlińskim almanachu portret Cagliostra, rytowany przez Chodowieckiego. Powiadam ci, to żywy portret Spallanzaniego.

Niedawno, idąc po schodach, spostrzegłem w jednym z okien jego mieszkania nieco uchyloną firankę. Sam nie wiem czemu, zajrzałem ciekawie. Siedziała tam przy stoliku, trzymając na nim złożone na krzyż ręce, cudownej piękności, prześlicznie ubrana młoda kobieta. Odwrócona była twarzą ku mnie, ale nie zdawała się mnie widzieć. W ogólności spojrzenie jej miało w sobie coś wrytego, byłbym skłonny przypuścić, że musi być pozbawiona wzroku. Wyglądało, jakby spała z otwartymi oczyma. Dowiedziałem się później: że to była Olympia, córka Spallanzaniego, której tak zazdrośnie strzeże, że dotąd nikt się do niej zbliżyć nie zdołał. Musi mieć jakieś w tym przyczyny. Może jest słaba na umyśle, lub coś podobnego.

Ale doprawdy, po cóż ja ci piszę to wszystko, kiedy będę mógł opowiedzieć nierównie dokładniej. Bo najdalej za dwa tygodnie będę z wami. Muszę się osobiście wykłócić z moją dobrą, serdecznie ukochaną Klarą, a potem bez szemrania poddać się jej wpływowi. To mnie wyleczy lepiej stokroć, jak wszystkie rozsądne jej listy przysyłane z daleka. W pięknych jej różowych ustach prozaiczna nawet prawda nabiera poezji. Do zobaczenia, moi drodzy.

IV.

Do listów poprzednich wypadnie dodać niektóre objaśnienia, będące w związku z przeszłością naszych bohaterów. W czas jakiś po śmierci ojca Nathanaela, Klara i Lotar, sieroty, dzieci dalekiego krewnego, zostały przygarnięte w domu wdowy, celem wspólnego z jej dziećmi wychowania. Wkrótce Nathanael pokochał Klarę i gdy się przekonał, że była mu wzajemna, za zezwoleniem matki zaręczył się z nią i wyjechał do Getyngi kończyć rozpoczęte nauki. Właśnie go tam widzieliśmy uczęszczającego na wykłady Spallanzaniego.

Klara nie była w ścisłym znaczeniu piękna, choć w kształtach jej ciała nie było nic do zarzucenia. Miała wiele wdzięku w postawie, ale rysy twarzy nie zalecały się regularnością. Miała jednak cudowne włosy i cerę niesłychanie delikatną. Ale nade wszystko wyraz oczu, który zdolny był zachwycić najwymyślniejszego artystę! Jeden z takich, malarz-entuzjasta, porównał je z jeziorem Ruisdaëla, w którym przegląda się jednocześnie i przeczysty niebios błękit, i zarazem dalekie krajobrazy przepysznej fantazji. Poeci i kompozytorzy szli nierównie dalej jeszcze.

Uroda

Jezioro i zwierciadło? Cóż znowu! Z oczu tej dziewczyny tryskają natchnienia i harmonie. Czyż nie widzicie, jak się uśmiecha litośnie ile razy który z nas popisuje się w jej obecności. Bo w duszy swojej nosić musi stokroć obfitsze zasoby piękna, niż nas wszystkich razem stać na to.

W istocie, Klara posiadała wyobraźnię naiwną jak niewinność dziewczęcia, duszę tkliwą i głęboko kochającą, ale zarazem umysł bystry i przenikliwy. Stąd nie lubiła dziwaków

i jeśli jej się zdarzyło spotkać gdzie którego, to już na pierwszy rzut oka wzrok i uśmiech zdawał się mówić:

— Mój dobry panie, niech ci się też nie zachciewa, żebym brała twoje przywidzenia za coś istotnie żyjącego na świecie.

Z tego względu Klara była nawet przez wiele osób pomawiana o chłód, nieczułość i prozę. Natomiast ludzie rozumiejący warunki życia zwyczajnego bardzo lubili tę rozsądną dziewczynę. Wszakże nikt nie miał tyle do niej przywiązania, co Nathanael. Klara kochała go także z całej duszy i kiedy po raz pierwszy rozłączyć im się przyszło, może jeszcze więcej bolała nad tym od niego. Z jakim życiem pobiegła rzucić się w jego objęcia, kiedy wrócił, jak to był obiecał w ostatnim liście! Stało się też, jak przewidział; gdyż zaledwie ujrzał Klarę, zapomniał natychmiast: i o zbyt rozsądnym jej liście, i o Koppeliusie, i o Coppoli, i o wszystkim na świecie.

Nie trwało to jednak długo. Miał słuszność, pisząc w swoim liście, że zjawienie się wędrownego optyka fatalnie wpłynęło na jego życie. Niebawem zapadł znowu w ponure marzenia i począł roić rzeczy dziwne jak nigdy. Życie ziemskie, w mniemaniu jego, było tylko sennym przeczuciem.

— Człowiek błędnie mniema, iż jest samoistny — powtarzał. — Przeciwnie, służy on tylko za igraszkę tajemniczym potęgom, przeciw którym walczyć rzeczą jest daremną! Prędzej lub później ulega się koniecznie losowi, który nam z góry naznaczono.

Uwziął się nawet dowodzić, że jest szaleństwem, jakoby w nauce i sztukach można co było wytworzyć własną swoją, wolną wolą; gdyż entuzjazm, który sam tylko posiada zdolności twórcze, nie przychodzi z wewnątrz, ale jest wynikiem pierwiastka zewnętrznego, działającego na człowieka bezpośrednio.

Rozsądna Klara z wstrętem odpychała ten fanatyczny mistycyzm, z tym wszystkim nie zdawało się jej właściwym zbijać twierdzenia Nathanaela; wszakże kiedy ten ostatni począł pewnego razu dowodzić: jako Koppelius, w charakterze niegodziwego ducha, opętał go od chwili, kiedy się ujrzał podpatrywanym spoza firanki, i jako zapewne zechce zakłócić ich wspólne przyszłe szczęście, nie mogąc się wstrzymać dłużej, wstała i rzekła poważnie:

— Tak jest, Nathanaelu, masz słuszność. Koppelius jest rzeczywiście niegodziwym duchem. Może on w istocie nabroić niemało, jako wcielony szatan kusiciel, ale to jedynie wtedy, jeśli go się nie pozbędziesz z twej myśli. Jak długo wierzyć w niego będziesz, żyć on będzie i działać; nie co innego bowiem, jak tylko wiara twoja stanowi jego siłę.

Nie mogąc jej przekonać w sprawie Koppeliusa, usiłował Nathanael obeznać ją z zasadami wyznawanego przez siebie mistycyzmu tajemniczych wpływów. Ale i to się na nic nie zdało. Uparta dziewczyna zaczęła mówić o czym innym, co wreszcie naprawdę już drażnić poczęło Nathanaela. Pomyślał, że marnuje ważne i głębokie zadania, rozpraszając je pomiędzy zimne i nieczułe dusze, nie zdając sobie sprawy: czy i Klarę do ich liczby zalicza. Swoją drogą nie zaniechał usiłowań, żeby ją koniecznie zjednać swym przekonaniom. Zdarzało się, że przyszedłszy z rana na kawę, przynosił jej różne książki mistyczne, z których czytał coraz ważniejsze ustępy. Wtedy Klara odzywała się z uśmiechem, spoglądając mu w oczy:

— Ależ, mój drogi Nathanaelu, powiedzieć by można, że tym sposobem jesteś jakimś niegodziwym pierwiastkiem. Wywierasz bowiem jak najzgubniejszy wpływ na moją kawę. Nie mogę od ciebie oczu oderwać, kiedy czytasz, a tu tymczasem wszystko wykipiało i nie będziemy mieli śniadania. Daj lepiej pokój mistycyzmowi, bo mi to przeszkadza być dobrą gospodynią.

Na te słowa Nathanael gniewny zamykał książkę i odchodził do swojego pokoju. Niegdyś posiadał prawdziwy talent do poezji, co Klarze robiło największą w świecie przyjemność. Obecnie, wytwarzał tylko rzeczy dziwne i niepojęte. Chociaż Klara nie robiła mu już o to uwag żadnych, spostrzegł się przecież na zmianie jej upodobania w tym względzie.

W istocie, nie było dla niej nic przykrzejszego jak nudy. Kiedy ich doświadczała, wzrok jej równie jak rozmowa zdawał się wypowiadać zdrętwienie, w które umysł jej zapadał. Przyznać zaś należy, że poezje Nathanaela stały się wierutnie nudne. Do tego żal, jaki miał do Klary, znajdując, że odkrył w niej duszę chłodną i prozaiczną, zdawał się wzrastać coraz silniej; tym bardziej, że i Klara ze swej strony nie mogła przemóc na sobie niejakiego wstrętu, widząc, jak Nathanael coraz silniej zapadał w swój ponury

i niedorzeczny mistycyzm. Tym sposobem wzajemnie coraz więcej oddalali się od siebie, ani się spostrzegając.

Tymczasem postać Koppeliusa rzeczywiście znacznie była zbladła w jego wyobraźni, tak, że z trudnością przychodziło mu wprowadzić ją do poezji, w których usiłował wypowiedzieć cały zgubny wpływ na swoje przeznaczenie.

Z tym wszystkim przedsięwziął utworzyć poemat, mający na przedmiot ponure przeczucie nieszczęścia z tej strony. Przedstawił Klarę i siebie związanych obopólną, silną miłością, udręczanych jednak od czasu do czasu złowróżbnymi znakami ciemnego jakiegoś wokoło nich wpływu. Wreszcie, w chwili kiedy się już znajdują u ołtarza, zjawia się straszliwy Koppelius, dotyka czarownych oczu Klary, te natychmiast wyskakują z oprawy i tryskają na podobieństwo krwawych gwiazd na pierś Nathanaela, którą zapalają płomieniem. W tejże chwili porywa go Koppelius i rzuca w ogniste koło, kręcące się z szybkością huraganu pośród świstu i zgrzytu. Zewsząd szturmują tam wzdęte i spienione bałwany, szamocąc się między sobą na podobieństwo czarnych olbrzymów z posiwiałymi głowami. Jednakże pośród ogłuszającego ich ryku, słyszy jeszcze słodki głos swojej Klary, szepcący mu:

— Jam przy tobie, opamiętaj się. Nie wierz Koppeliusowi. To nie moje oczy piersi ci ogniem zżarły, to tylko palące krople krwi własnego twego serca. Ja mam swoje oczy jak i dawniej, spojrzyj w nie...

— Prawda! Cóż za niedorzeczność! — Mówi sobie Nathanael. — Toż to Klara jest przy mnie, toż ja należę do niej na wieki.

Oprzytomnienie to zdaje się wywierać wpływ ogólny. Płomieniste kolo gaśnie, huk przepada w otchłani. Nathanael spogląda w oczy Klarze, ale okazuje się, że te oczy są oczami umarłej i zatrzymują się na nim z wyrazem miłości.

Na tym się kończył poemat Nathanaela. Dopóki go wytwarzał, czuł się całkowicie uspokojony. Pracowicie wygładzał i zaokrąglał strofy i ponieważ przedsięwziął użyć wiersza miarowego, dopóty nie spoczął, aż nie przywiódł wszystkiego do ostatecznej harmonii. Kiedy wreszcie skończył swoją pracę, umyślił przeczytać ją głośno. Ale zaledwie uchem zasłyszał te dziwne rytmy, ogarnęła go niewysłowiona trwoga.

— Skąd mi się wzięły te straszliwe dźwięki? — spytał sam siebie.

Ochłonąwszy jednak stopniowo, począł widzieć w poemacie swoim zwyczajną tylko robotę ducha, która mu się nad podziw udała. Pomyślał, że jeżeliby go przeczytał Klarze, może by zdołał tym sposobem choć trochę rozgrzać tę lodowatą duszę.

Pewnego dnia siedzieli sobie oboje w ogrodzie. Klara była wesoła jak ptaszę, gdyż Nathanael od trzech dni już (wprawdzie trzy dni te spędził na pracy nad swoim poematem) nie męczył jej ani marzeniami, ani przeczuciami. Nathanael także był jakoś odzyskał dawną swoją wesołość.

— Co teraz — rzekła Klara, — to już widzę na pewno, żeś znowu mój po dawnemu, drogi Nathanaelu! Widzisz, jak nam się udało wreszcie odegnać wspólnymi siłami tego niegodziwca Koppeliusa.

Słowa te nieszczęściem przypomniały Nathanaelowi poemat, który miał przy sobie. Wyjął go z kieszeni i zaczął czytać. Klara, będąc pewna, że to znowu coś bardzo nudnego, zdobyła się na rezygnację i wzięła pończoszkę. Ale wsłuchawszy się, przerażona upuściła druty i poczęła się bystro przyglądać poecie. Ten nieubłagany czytał dalej, rozpłomieniły mu się policzki, w oczach łzy zabłysły. Skończywszy, jęknął głucho i porywając rękę Klary, zawołał z wyrazem niewysłowionej boleści:

— Klaro moja, Klaro, Klaro!

Ona rzuciła mu się na szyję i wyszeptała z cicha:

— Nathanaelu, drogi Nathanaelu, jeśli mnie kochasz choć trochę, rzuć w ogień tę śmieszną i szaloną robotę.

Ale ten zerwał się oburzony i odwracając od siebie ukochaną:

— Precz, przeklęty automacie bez życia! — zawołał grzmiącym głosem i wybiegł.

Klara, zraniona do żywego, zalała się gorzkimi łzami.

— Mój Boże, on mnie nigdy nie kochał! — wyrzekła, łkając.

Wtem nadszedł Lotar. Na naleganie jego, Klara zmuszona była opowiedzieć mu wszystko, co zaszło. Lotar czule kochał siostrę. Poprzednie szaleństwa już go były kosz- Pojedynek

towały niemało krwi zimnej; to ostatnie dopełniło miary. Pobiegł do Nathanaela i rozmówili się z sobą w sposób wielce ostry. Pojedynek stał się nieunikniony.

Postanowili bić się nie dalej jak nazajutrz z rana, poza ogrodem, na rapiery, studenckim zwyczajem. Ale Klara domyśliła się wszystkiego, słysząc ich sprzeczkę, dostrzegła, jak broń przynoszono. O oznaczonej godzinie, kiedy już zamierzali wzajemnie godzić na siebie, wbiegła, by rzucić się pomiędzy walczących.

— Szaleńcy! — zawołała, łkając. — Mnie najprzód zabijcie: bo czy brat mój zabije mi narzeczonego, czy narzeczony brata, w obu razach żyć mi niepodobna.

Na te tkliwe słowa Lotar opuścił broń zawstydzony. Jednocześnie Nathanael, dotknięty wyrzutem, uczuł w sercu całą moc swego przywiązania do Klary. Rzucił precz rapier i padł jej do nóg.

— Ach! czyż zdołasz przebaczyć mi to kiedy, Klaro moja? jedyna moja! najukochańsza moja! — rzekł ze łzami. — Przebaczysz mi to kiedy, bracie mój Lotarze?

Wzruszył się Lotar tą głęboką boleścią przyjaciela. Otworzył ramiona i padli sobie w objęcia, poprzysięgając odtąd być sobie braćmi do śmierci. Był to jeden z najszczęśliwszych dni w życiu Klary.

Nathanael uczuł ulgę, jakby ogromne jakieś brzemię odwalił sobie z piersi. Raz, silny postawiwszy opór tajemniczej potędze, mniemał się jakby odrodzonym na nowo. W istocie bowiem szło tam o życie, któremu zagrażała zguba, jak sądził, nieunikniona. Tak więc trzy dni jeszcze pozostał z swymi przyjaciółmi, po czym wybrał się z powrotem do Getyngi kończyć rozpoczęte nauki, do czego jeszcze potrzebował roku.

Zamilczano przed matką Nathanaela wszystko, co było w związku z Koppeliusem, wiedziano bowiem, że nie mogła bez wstrętu słyszeć nawet nazwiska tego człowieka, któremu wraz z synem przypisywała śmierć swego męża.

V.

Proszę sobie wyobrazić zdumienie Nathanaela, kiedy przybywszy do Getyngi, zastał tylko zgliszcza z domu, w którym miał mieszkanie. Chociaż ogień zajął się był w pracowni aptekarza, mieszkającego na dole, to jednak przyjaciele zdołali wyłamać drzwi od pokoju i uratować wszystkie jego książki, rękopisy i instrumenty, tak, że prawie nic nie przepadło. Znalazł to wszystko przeniesione do innego mieszkania, które pod jego nieobecność dla niego najęto.

Trzeba zdarzenia, że okna tego pokoju wychodziły wprost na mieszkanie profesora Spallanzaniego. Dość było rzucić stamtąd okiem, żeby zaraz ujrzeć piękną Olympię. Siedziała zawsze jak i przedtem sama jedna, zawsze w tej samej postawie, nieodmiennie przy tym samym stoliku, bez żadnego w świecie zajęcia, wyraźnie jednak spoglądając ku Nathanaelowi. Nigdy mu się nie zdarzyło widzieć piękniejszej postaci. Z tym wszystkim, ponieważ Klara wyłącznie panowała w jego sercu, zjawisko to było mu najzupełniej obojętne, miał tylko upodobanie spoglądać na nią niekiedy, jakby na jaki piękny posąg; nie widząc jej zaś, myślał o czym innym.

Właśnie zajęty był pisaniem listu do Klary, kiedy zapukano do drzwi i niebawem ukazała się na progu nieprzyjemna postać Coppoli. Nathanael uczuł dreszcz po wszystkich członkach, ale przypomniawszy sobie zapewnienie Spallanzaniego, oraz słowo, które dał Klarze, zawstydził się w duszy tak płonnego uprzedzenia. Zmógł się tedy na siłach i rzekł jak mógł najobojętniej:

— Nie potrzeba mi barometru, mój panie.

Na te słowa Coppola wszedł do pokoju i odezwał się głosem ochrypłym:

— Nie, nie, nie idzie tu o barometr, bo ja mam także i oczy... Piękne, przepyszne oczy...

Mówiąc to, uśmiechał się wyszczerzając zęby, a oczy jego błyszczały jak próchno spod gęstych brwi szpakowatych.

Nathanael zerwał się wystraszony.

— Jesteś szalony, mój panie, jakże możesz mieć do zbycia oczy, oczy... oczy...

Wtedy Coppola sięgnął ręką do kieszeni i, wyciągnąwszy stamtąd całą garść okularów, zaczął je rozkładać na stole.

— Ech, alež ja chcę mówić o okularach, o okularach, które kładzie się na nosie, to właśnie nazywam oczami.

Cedząc przez zęby te słowa, wyciągał coraz więcej okularów, tak, że wkrótce cały stół zaiskrzył dziwnymi jakimiś odblaskami. Tysiące najrozmaitszych spojrzeń zdawało się mrugać stamtąd na Nathanaela, który żadnym sposobem nie odwrócił wzroku. A tymczasem Coppola wyciągał coraz nowe okulary i spojrzenia coraz ognistsze, coraz bardziej krwawe, coraz dziksze, coraz bardziej nieubłagane, raziły wzrok, mroziły serce w piersiach Nathanaela.

— Dosyć! dosyć, straszliwy człecze! — zawołał wreszcie, odchodząc od siebie ze zgrozy.

Mówiąc to, rozpaczliwie przytrzymywał rękę swego prześladowcy, który wyciągał całe garście, jakkolwiek nie było kłaść już i na czym; Coppola wyrwał mu rękę, chichocząc w sposób przeszywający dreszczem.

— A! To pan sobie tego nie życzy! Nie wiedziałem, przepraszam. — rzekł pośpiesznie. — No, ale ja tu mam inne szkiełka, bardzo piękne...

Przez ten czas pozbierał był i pochował wszystkie okulary, i sięgnąwszy do innej kieszeni, zaczął z niej wyjmować lornetki i perspektywy.

Jak tylko okulary poznikały ze stołu, Nathanael uspokoił się w zupełności. Pomyślał o Klarze i przekonał się natychmiast, że wszystkie złe wrażenia miały tylko źródło w nim samym i że Coppola nie był żadnym strachem, ani tym bardziej przypomnieniem przeklętego Koppeliusa, ale przeciwnie, uczciwym sobie mechanikiem i optykiem. Szkła bowiem, które wyjmował z drugiej kieszeni, nie miały w sobie nic nadzwyczajnego. Chcąc się tedy z nim pogodzić, umyślił kupić cośkolwiek.

Wybrał więc lornetkę i przyłożył do oczu, chcąc ją wypróbować. Nigdy w życiu nie widział lepszej; przybliżała tak dokładnie, że aż rozkosz było patrzeć. Mimowolnie skierował ją ku pokojowi Spallanzaniego.

Olympia siedziała tam jak zwykle, z rękoma złożonymi na stoliku. Była cudownie piękna, tylko oczy wydawały się wryte, jakby u umarłego. Jednak w miarę, jak się jej przypatrywał, wyraźnie budziły się w nich wilgotne jakieś blaski, jakby promienie wstającego księżyca. Powiedziałbyś: że zdolność widzenia rodziła się dopiero w tej postaci. Stopniowo oczy jej ożywiały się coraz mocniej.

Nathanael stał jakby przykuty do okna, nie umiejąc oderwać wzroku od widoku pięknej Olympii. Wreszcie usłyszał za sobą suche pokasływanie, które mu przypomniało czekającego Coppolę.

— Trzy dukaciki tylko! Trzy dukaciki, to niedrogo.

Nathanael zapłacił skwapliwie.

— Nieprawda? Piękne szkiełka, śliczne szkiełka? — mówił Coppola ochrypłym głosem, uśmiechając się szyderczo.

— Piękne, piękne. — rzekł mu na to Nathanael opryskliwie. — No, już idź sobie, bywaj zdrów, przyjacielu.

Coppola idąc po schodach, zdawał się dusić od śmiechu.

— Wyraźnie drwi ze mnie, — pomyślał Nathanael; sądzi pewnie, że przepłaciłem lornetkę; oszalał! Przepłacić podobną lornetkę? Ale może ją i przepłaciłem?

Kiedy to mówił, zdało mu się słyszeć westchnienie jakieś w pokoju. Dreszcz go przebiegł i włosy wstały na głowie, ale niebawem przekonał się, że to on sam westchnął.

— Ma słuszność Klara — rzekł do siebie, — cierpię rzeczywiście chorobliwe przywidzenia. Czyż istotnie może mi co tak dalece zależeć na tym: czy tę lornetkę przepłaciłem, czy też kupiłem tanio? Dlaczego mi myśl o tym nie daje spokoju? Pojąć tego nie mogę.

Siadł kończyć list do Klary, ale spojrzawszy przypadkiem w okno Olympii, uczuł się zmuszonym porwać znowu lornetkę i utonąć wzrokiem w tę postać cudowną. Nie wiadomo, jak długo trwał w tym upojeniu, przerwał mu je dopiero Zygmunt, jego kolega, oznajmiając, że już czas iść na wykłady.

Wróciwszy do siebie, zastał w oknie Olympii zapuszczoną firankę. Tak samo było dnia następnego i jeszcze następnego. Na trzeci dzień ujrzał całe okno staranniej jeszcze zasunięte gęstą storą.

Zrozpaczony, rozgorączkowany, wybiegł na miasto. Obraz czarownej Olympii unosił się przed nim w powietrzu, wypływał z każdego obłoku, zdając się spoglądać na niego

promienistymi oczyma z błękitnej wód przezroczy. Myśl o narzeczonej całkiem wywietrzała mu była z głowy, marzył już tylko o Olympii.

— O ty cudowna gwiazdo miłości! — wołał, odchodząc od siebie. — Czyliż na to tylko zabłysłaś na niebie, żeby zniknąć bezpowrotnie? Czyliż mnie zostawisz samego, na pastwę ciemnościom i rozpaczy?

Wracając do siebie, spostrzegł wielki jakiś ruch w domu Spallanzaniego. Drzwi wszędzie otwarte były na oścież, wnoszono rozmaite sprzęty. Okna na pierwszym piętrze były powyjmowane, myto i zaprawiano posadzki, wykurzano meble, wszędzie kręcili się stolarze i tapicerzy. Zdziwiony przypatrywał się temu wszystkiemu stojąc na ulicy, kiedy wtem przybliżył się do niego Zygmunt, śmiejąc się hucznie.

— Ha! ha! Cóż ty mówisz na to wszystko?

Nathanael nie wiedział co odpowiedzieć. Wtedy Zygmunt objaśnił mu, iż stary Spallanzani nie dalej jak jutro daje bal nader świetny, na który zaproszona jest przynajmniej połowa uniwersytetu. Chodzi zaś wieść, że na tym balu po raz pierwszy wystąpić ma jego córka, którą dotąd tak zazdrośnie trzymał w ukryciu.

Nathanael, znalazłszy u siebie zaproszenie, w oznaczonej godzinie zjawił się u profesora. Już było na dziedzińcu mnóstwo powozów, w salonach światła rażące, zwierciadła, kwiaty, tłum gości. Wtem rzeczywiście ukazała się Olympia, w ubiorze tak gustownym, że od razu wszystkich zachwyciła. Była też piękna, nie ma co mówić, nawet prześliczną miała figurę. Jednak, rozpatrzywszy rzecz dokładniej, można było sądzić, że jest zanadto ściśnięta sznurówką, tak jakoś wyglądała sztywno. Także chód jej i ruchy miały w sobie coś jakby ściśle obliczonego i nadto jednostajnego. Nie podobało się to niektórym osobom zbyt wymagającym, ale też młodej osobie, po raz pierwszy w świat wchodzącej, zadowolić wszystkich niełatwo.

Rozpoczęto zabawę koncertem. Olympia dała się naprzód słyszeć na fortepianie, w czym okazała biegłość znakomitą, choć nieco za mało uczucia; następnie odśpiewała przepyszną *arię di bravura*[4] głosem czystym i dźwięcznym, ale który nieco przypominał harmonijkę. Nathanael był zachwycony. Stojąc poza tłumem słuchaczy, nie był w stanie dokładnie widzieć twarzy Olympii, dobył tedy z kieszeni lornetki Coppoli i przyłożył do oczu.

O rozkoszy! Wtedy to spostrzegł dopiero, że urocza dziewczyna w niego tylko patrzała, w niego jednego, i że modulacjom jej głosu najcudowniej odpowiadały namiętne jej spojrzenia! Świetne dźwięki, ulatując z jej piersi wzdętych miłością, wydawały się Nathanaelowi cudownymi wyrazami, których znaczenie czytał w własnym sercu, i kiedy umilkła, nie mogąc się powstrzymać dłużej, zawołał mimowolnie, sam nie wiedząc, co mówił:

— Olympio! Ach! Olympio!

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku niemu, niektórzy goście śmiać się poczęli. Organista z katedry zaczął mu się bystro przypatrywać przez okulary i szepnął do siebie, kręcąc głową:

— No, no! No, no!

Po koncercie bal się rozpoczął. Tańczyć z nią! O rozkoszy! Ale jak się tu ośmielić zaprosić ją do tańca, taką królową. Tymczasem, nie wiedzieć jakim sposobem, znalazł się już przy niej, ujął ją za rękę i pokazało się, że nie była zamówiona, choć nie przemówili do siebie nawet słowa. Ale dłoń Olympii była zimna, jakby trupia. Nathanael uczuł dreszcz po wszystkich członkach, szczęściem, spojrzawszy zdumiony w oczy dziewczyny, wyczytał w nich tyle miłości i szczęścia, że zapomniał o wszystkim w świecie. W tejże chwili uczuł także, jakby krew krążyć zaczęła w jej dłoni; dotknął tętna, biło przyśpieszonym napływem. Rozszalało mu się w głowie, w sercu. Ująwszy kibić czarodziejki, porwał ją w wir szalony i przepadli w kole tańczących. Ale po chwili odbiegła go wszelka pewność siebie. Sądził dotąd, że umie wybornie w takt tańczyć: otóż wydało mu się, że był w błędzie. Rytmiczne ruchy Olympii miały w sobie tyle estetycznego zbytku, że cała umiejętność jego w tym względzie okazała się dziwnie niewystarczająca. Z tym wszystkim , chociaż mu to czyniło przymus niemały, zabiłby na miejscu każdego, kto by się poważył ubiec go w zamówieniu Olympii. Rzecz dziwna, nie zdarzyło się to ani razu. Zdawano się unikać Olympii i Nathanael mógł z nią tańczyć, ile mu się tylko podobało. Oddany tej

Taniec

[4]*aria di bravura* — aria popisowa, służąca prezentacji umiejętności wokalnych. [przypis edytorski]

czarodziejce wszystkimi władzami swej duszy, nie zważał, jak wokół szeptano, tłumiono uśmiechy, przyglądano się dziwnie obojgu, robiąc uwagi zapewne niezbyt pochlebne. Nie wiedział o niczym i nie dbał o nic. Rozgorączkowany tańcem, upojony swoją miłością, ośmielił się nad wszelki podziw. Siadł przy Olympii, ujął jej rękę i mówił jej namiętne słowa, które tylko oni oboje rozumieć mogli. Może je nawet ona więcej rozumiała od niego, gdyż nieustannie patrzyła mu w oczy, wzdychając tylko w sposób dźwięczny:

— Ach! Ach!

Na co Nathanael odpowiadał z uniesieniem:

— O istoto niebieska! O królowo mej duszy! O ty promieniu cudowny, zwiastujący lepsze światy, ku którym wyrywa się tęsknota! O światło mojego życia! O jedyna moja pani.

Ale Olympia za całą odpowiedź powtarzała tylko, patrząc mu w oczy i wzdychając:

— Och! Och!

A Spallanzani przechodził koło nich co chwila, przyglądając im się z uśmiechem zadowolenia. Nagle Nathanael, opamiętawszy się w swoim upojeniu, spostrzegł, że już było późno. Obejrzał się wkoło, sala była już najzupełniej pusta. Ostatnie światła dogasały, pryskając w pośród ciszy.

— Co? Rozstać się już? Rozstać się z tobą, Olympio! — wykrzyknął namiętnie, odchodząc od siebie z rozpaczy.

Mówiąc to, porwał jej rękę i okrywał ją płomienistymi pocałunkami, palące łzy zaćmiły mu źrenicę. Olympia pochyliła się ku niemu i rozgorączkowanych ust jego dotknęły jej usta jak lód zimne. Podobnie jak przedtem przy pierwszym ręki dotknięciu, przeszył go i teraz dreszcz śmiertelny, mimowolnie przypomniała mu się dziewica-widmo, nawiedzająca oblubieńca w ludowej balladzie, ale czarująca dziewczyna namiętnie przycisnęła go do piersi, a usta jej zdawały się rozgrzewać coraz silniej własnymi jej pocałunkami.

Pocałunek, Kobieta demoniczna

Tymczasem Spallanzani przechadzał się bezustannie po pustej sali, kroki jego budziły głuche echa, a postać przedstawiająca się w półcieniach miała coś fantastycznego i wymykającego się zmysłom.

— Czy kochasz mnie? Czy mnie kochasz przynajmniej, boska Olympio? O! Powiedz mi, powiedz duszy mojej to czarodziejskie słowo: kochasz mnie?

Tak mówił Nathanael. Ale Olympia wstała tylko i odpowiada, wzdychając:

— Ach! Ach!

— O tak! Cudowna gwiazdo mej miłości — mówił Nathanael — zabłysłaś obietnicą szczęścia pośród nocy mego życia i opromieniać je będziesz na wieki.

— Ach! Ach! — odpowiedziała Olympia, odchodząc.

Nathanael pobiegł za nią i znalazł się twarz w twarz z profesorem.

— Zagadałeś się do późna z moją córką — rzekł ten ostatni, uśmiechając się dobrotliwie. — szczerze się z tego cieszę. Jeżeliś sobie tyle upodobał jej towarzystwo, to proszę cię, Nathanaelu, zawsze nam będziesz miłym gościem. Pomimo słabości jej umysłu, córka moja szczerze ci sprzyja, jak widzę.

Nathanael oddalił się wreszcie, unosząc całe niebo w swej duszy.

VI.

Bal u Spallanzaniego stał się przedmiotem wielu uwag najdziwniejszych. Chociaż nic nie brakło do jego świetności, to przecież i do najniewinniejszych rzeczy przyczepić się można.

Wyśmiewano się ze sztywnej i niemej Olympii, której, pomimo przyjemnej powierzchowności, zarzucano najzupełniejszą głupotę, co zapewne skłaniało Spallanzaniego, że ją tak długo trzymał w ukryciu. Nathanael nie mógł słyszeć bez oburzenia uwag podobnych, przedsięwziął jednak milczeć uparcie.

— Na co się zdało — mówił sobie w duszy — strzępić sobie język w podobnym przedmiocie? Na dobrą sprawę, przyszłoby dowieść tym półgłówkom, że tylko własne ich ograniczenie przeszkadza im ocenić boskie przymioty Olympii.

— Przepraszam cię, drogi Nathanaelu — rzekł mu raz wreszcie Zygmunt — ale wytłumacz mi, jakim u diabła sposobem człowiek, jak ty rozsądny, mógł się zakochać w tej drewnianej lalce z woskową twarzą?

Nathanael, z trudnością poskramiając wybuch, odpowiedział na to ile mógł spokojnie:

— Wytłumacz mi raczej ty, Zygmuncie: jakim sposobem człowiek, jak ty światły i umiejący ocenić wszystko, co piękne, mógł się nie poznać na cudownych wdziękach Olympii? Co do mnie, cieszę się z tego, boś mi nie jest rywalem; inaczej jeden z nas już by nie żył.

Zygmunt, widząc ze smutkiem chorobliwy stan swego przyjaciela, zaniechał drwiącego tonu i przyznał, że w rzeczach miłości upodobanie jest jedynym prawem.

— Tylko dziwne mi się wydaje, — dodał — że kto tylko widział Olympię, tak samo ją sądzi, jak ja. Przepraszam cię, drogi Nathanaelu, wszyscy znajdują ją zarówno sztywną i jakby pozbawioną duszy. Ma kibić powabną, twarz nawet piękną, ale cóż z tej piękności, kiedy jej nie ożywia spojrzenie. Czyż nie widzisz, że w oczach jej nie ma iskry życia, że zdają się patrzeć, nie widząc? Podobnież i ruchy jej dziwnie się wydają obrachowane; czyż nie można by myśleć, że są zależne od układu jakichś kółek, które się obracają stosownie do nakręcenia? Podobnież gra jej, śpiew nawet, posiadają tę osobliwszą dokładność, nieprzyjemną i bezduszną, jaka jest udziałem sztucznego tylko mechanizmu; toż samo da się powiedzieć o jej tańcu. Wierz mi Nathanaelu, ta twoja Olympia zrobiła nam wszystkim wrażenie widma i od pierwszego wejrzenia nie chcieliśmy mieć z nią nic wspólnego. Wydała nam się po prostu zręcznym podrobieniem istoty obdarzonej życiem; a co do mnie, mam przekonanie, że wcale nie jest tym, czym się być wydaje.

Maszyna, Kobieta demoniczna

Nathanael cierpliwie wysłuchawszy uwag przyjaciela, odpowiedział wreszcie głosem silnego przekonania:

— Nie dziwię się bynajmniej, że takie, a nie inne wywiera na was wrażenie Olympia, boście ludzie prozaiczni i niedaleko widzący. Dusza jej podobna, rozkwita tylko dla umysłów wybranych. Toteż z całego waszego tłumu mnie tylko jednemu rozbłysnął wzrok jej, w którym czytać można tajemnicze głębie. Mnie tylko jednemu znany jest cały urok uczucia, do jakiego zdolne jej serce. Ludziom światowym, powierzchownie rzeczy biorącym, wystarcza zdawkowe paplanie o przedmiotach, o których i mówić nie warto. Olympia mówi mało, nie przeczę, ale te nieliczne słowa, które wymawia, wypowiadają cały tajemniczy świat uniesień ducha, czarownych przeczuć i zespolenia wszystkich władz umysłu w miłości, która jak w zwierciadło w wieczność spogląda. Ale na cóż ci mówię to wszystko, czyż ty mnie zrozumieć możesz!

— Rób wreszcie, jak ci się podoba, Nathanaelu, — rzekł Zygmunt smutno — bodajbym się mylił, ale mniemam, żeś nie jest na dobrej drodze. Może się kiedy przekonasz o istocie rzeczy, a wtedy wróć do mnie, znajdziesz mnie zawsze tym samym!

Przyjaźń

Nathanael uczuł, że zimny i prozaiczny Zygmunt zdolny jest jednak kochać tkliwie. Ścisnął go za rękę i oddalił się zamyślony.

VII.

Nathanaelowi najzupełniej wyszło z pamięci, że była na świecie jakaś Klara, którą kochał. Tym bardziej wywietrzała mu z głowy matka i Lotar, przyjaciel od dzieciństwa. Już tylko żył dla Olympii, poświęcając jej wszystkie niemal chwile, nieustannie jej tylko mówiąc o swojej miłości, o dziwnym ich dusz powinowactwie, o nadziemskich wpływach, kojarzących dwie połowy jednej całości. Wszystkiego tego urocza dziewczyna słuchała z jak największym zbudowaniem. Wreszcie powyciągał z teki wszystko, co kiedykolwiek w życiu napisał: widzenia, fantazje, poematy, powieści, do których codziennie jeszcze dodawał mnóstwo sonetów mistycznych, ustępów, pieśni; cały ten zbiór szpargałów po całych godzinach czytywał Olympii. Jeżeli się to jemu nie sprzykrzyło, przyznać należy, że i ona była w tym względzie wzorem cierpliwości.

Nuda

Ani haftowała, ani robiła pończochę, ani wyglądała oknem, ani karmiła ptaków, ani bawiła się z pieskiem, ani z kotem ulubionym, nawet nie kręciła w ręku od chusteczki rogu, nawet nie spoglądała na posuwające się żółwim krokiem wskazówki zegara; a jednak nigdy nie potrzebowała kasłać w sposób przymuszony w celu ukrycia ziewania. Krótko mówiąc, po prostu, po całych godzinach, siedząc bez najmniejszego ruchu, wpatrywała się tylko w oczy swego ukochanego, a wzrok jej zapalał się w miarę, jak długo to trwało. Tylko ile razy Nathanael przyciskał sobie jej rękę do piersi albo całował ją w usta, mówiła: „Ach! Ach!", a niekiedy także: „Do zobaczenia, mój luby!"

Słowo, Miłość

— O! czarodziejska istoto! O duszo przeczystych głębi! — wołał Nathanael, chodząc w uniesieniu po swojej izdebce. — Ty jedna tylko na świecie rozumieć mnie umiesz!

I drżał z rozkoszy na samą myśl o tej cudownej zgodzie, do której coraz doskonalej nastrajały się ich dusze, gdyż był pewny, że rozmawiała z nim o jego utworach poetycznych, że podzielała wszystkie jego marzenia, zachwyty, wiary, aspiracje, w czym nawet tak przedziwnie się zgadzali, że nieraz wydawało się, jakby głos Olympii wychodził z własnych piersi Nathanaela. Nawet po trosze i tak być musiało; gdyż ile wiadomo, Olympia wymawiała tylko wyrazy, któreśmy wyżej przytoczyli.

Niekiedy wprawdzie, w chwilach opamiętania, dziwiło go uparte milczenie dziewczyny i bierność umysłowa, ale i wtedy odpędzał od siebie wszelkie rozumowanie, jako rzecz niegodną i mówił sobie:

— Słowa? Cóż mi słowa! Jedno spojrzenie jej czarownej źrenicy, sto razy więcej mówi niż najwymowniejsze wyrazy. I czyż istocie tyle nieziemskiej stosować się do tych lichych warunków, w których wykręca się jakby w ciasnym kole biedny nasz byt ziemski?

Spallanzani zdawał się wielce sprzyjać stosunkom Nathanaela ze swoją córką i kiedy ten ostatni zdobył się razu pewnego mówić z nim w słowach pełnych trwogi i nadziei o możliwości jeszcze wzmocnienia tych stosunków, stary profesor, zachwycony do najwyższego stopnia, uśmiechnął się tylko przyjaźnie, ściskając mu rękę i oświadczył, iż pozostawił córce całkowitą swobodę w tym względzie.

Zachwycony tymi słowy Nathanael postanowił nie później jak nazajutrz błagać Olympię, ażeby mu powiedziała wyraźnie to, co już od dawna odgadywał w jej oczach, a mianowicie: czy chce być jego na wieki? W tym celu począł szukać obrączki, którą mu dała niegdyś matka przy wyjeździe z domu, chciał ją bowiem ofiarować Olympii w zakład swojej wierności. W tej samej szkatułce znalazł także listy Klary i Lotara, ale obojętnie odsunął je na bok, wziął tylko pierścionek i spiesznie udał się z nim do Olympii.

Przybywszy na schody, usłyszał na górze łoskot jakiś osobliwy, wyraźnie w pracowni Spallanzaniego. Pukano nogami, mocowano się, coś sobie wydzierano, słychać też było krzyki i przekleństwa.

— Puszczajże, puszczaj mi zaraz, ty łotrze przeklęty! Czy to ja dla ciebie narażałem właśnie życie?

— Co mi tam! Precz, głupcze! Ja zrobiłem oczy…

— A ja wszystkie kółka.

— Ośle ty z twoimi kółkami! Puszczaj, ty psi zegarmistrzu!

— Dam ja tobie!

— Masz!

— Puścisz? Czy nie puścisz?

Nathanael z najmocniejszym przerażeniem poznał głos Koppeliusa. Pchnięty niepojętą trwogą rzucił się na górę, ale zaledwie stanął na progu, nogi się pod nim zachwiały.

Spallanzani trzymał jakąś kobietę za ramiona, Coppola za nogi i z największą zawziętością wydzierali ją sobie, ciągnąc każdy w swoją stronę. Walka

Nathanael zdrętwiał ze zgrozy, poznawszy w tej kobiecie Olympię. Wściekły z boleści, już się miał rzucić wydrzeć ją oprawcom, kiedy nagle Coppola tak okrutnie chwycił ją w rękach ojca, że ten zmuszony był puścić ofiarę. Jednocześnie tak silnie ciałem jej uderzył go w piersi, że ten padł na wznak w jeden kąt pokoju, gdzie pełno stało retort, flaszek, alembików[5] i rozmaitych naczyń szklanych, co wszystko razem rozbiło się w najdrobniejsze szczątki z niesłychanym łoskotem.

Wtedy Coppola, przerzuciwszy sobie Olympię przez plecy, zaczął schodzić, pękając ze śmiechu; drewniane nogi wisiały mu z tyłu, obijając się po schodach, w miarę jak się oddalał. Maszyna

Nathanael pozostał przykuty do miejsca. Okazało się, że w twarzy Olympii w miejscach, gdzie były oczy, widział tylko czarne wgłębienia. Oko

Spallanzani wił się po posadzce. Odłamki szkła powłaziły mu w głowę i w piersi, poprzecinały żyły w rękach, krew tryskała z ran, jakby ze źródeł. Nagle zerwał się na nogi:

— Trzymaj go! Leć! Jeszcze tu jesteś? Koppelius, przeklęty łotr! Taki pyszny automat! Ukradł go, strawiłem nad nim najlepsze dwadzieścia lat życia, włożyłem w to cały majątek,

[5] *alembik* — dawne naczynie laboratoryjne w kształcie zbiornika z długą szyjką. [przypis edytorski]

więcej niż życie! Cały mechanizm, mowa, chód, wszystko mojego pomysłu. Oczy tylko, jedne tylko oczy jego! Och! Zbrodniarz! Och! Potępieniec. Łap go! Biegnij! Leć! Przecież to Olympia, oto jej oczy.

Nathanael wtedy dopiero spostrzegł na posadzce parę zakrwawionych oczu, które w niego bystro patrzyły. Porwał je Spallanzani i rzucił mu na piersi. Wtedy szaleństwo porwało Nathanaela w płomieniste swoje szpony i całkowicie zakręciło mu w głowie.

Szaleństwo, Szaleniec

— Hej! Hej! Dalejże! Dalej! Płomieniste koło, kręć się! Wiruj! Grzmij! Gwijunun! Gwijunun! Tańcuj, lalko z drewna, dobrze, dobrze, prędzej. Kręć się! Leć! Gwijunun…

I po tych słowach rzucił się do Spallanzaniego, chwytając go za gardło. Byłby go zdusił, szczęściem nadbiegli na ratunek przechodzący ulicą studenci.

Zygmunt, chociaż bardzo silny, nie był w stanie sam utrzymać szaleńca. Ten walił pięściami, gdzie się zdarzyło, kopał i wrzeszczał wniebogłosy:

— Kręć się, lalko z drewna! Kręć się! Wiruj! Grzmij!

Wreszcie połączonymi siłami zdołano go powalić na ziemię i związać. Już tylko ryczał wściekle i pienił się jak opętany. W tym smutnym stanie zawieziono go do domu obłąkanych.

VIII.

Spallanzani wkrótce wyleczył się z ran swoich; niemniej przecież zmuszony był opuścić Getyngę, nie tylko z powodu wypadku Nathanaela, ale i skutkiem powszechnego oburzenia. Kiedy się bowiem przekonano, że kobieta, w której się ukradkiem kochali studenci, której niejedna panna zazdrościła powodzenia, którą tak żarliwie obgadywały dewotki, była tylko bezdusznym automatem, każdy uważać się począł za haniebnie oszukanego. Znalazło się zaraz wielu takich, którzy od dawna mówili (nie wiadomo tylko, komu?), że w tym wszystkim jest coś podejrzanego. Inni znowu zaraz od pierwszego razu dorozumieli się rzeczy, których nawet nie było. Ogólnie zaś zauważono, że piękna Olympia częściej kichała niż potrzeba, nie widziano zaś, żeby kiedy ziewnęła w nudnym towarzystwie. Kichanie mogło pochodzić z zakatarzenia flecików od śpiewu. Słyszano także, jak w niej coś chrupało, były to zapewne kółka nie dość starannie wysmarowane itp., koniec końcem, historia owego automatu głęboko wrosła ludziom w serce, a nawet wywołała niemało nieufności. Młodzi ludzie, z obawy, czy się nie kochają w lalkach z drewna, wymagali od panien, żeby ile możności śpiewały i tańczyły bez taktu, żeby robiły pończochę lub haftowały, podczas kiedy im coś czytano, lub przynajmniej bawiły się psem lub kotem, ale nade wszystko, żeby nie słuchały wszystkiego obojętnie, ale odpowiadały coś takiego, co by przecież dowiodło, że umieją czuć i myśleć. Tym sposobem wzmocnił się niejeden stosunek miłosny, inne znowu powoli się rozchwiały.

Maszyna, Obyczaje, Grzeczność

— Doprawdy, niepodobna być dość ostrożnym — powiadano.

Na rautach i amatorskich koncertach w ogóle ziewano wiele, o ile możności mało kichano, jedynie dla usunięcia wszelkich podejrzeń, ubliżających naturze ludzkiej.

Spallanzani tedy, jak żeśmy to wyżej powiedzieli, zmuszony został opuścić miasto i bardzo słusznie; poważył się bowiem zdradziecko wprowadzić lalkę w dobre towarzystwo.

Co do Coppoli, ten znikł bez śladu.

Dnia pewnego, Nathanael zbudził się jakby ze snu straszliwego. Otworzywszy oczy, uczuł rozkosz niewymowną i słodkie jakieś ciepło przebiegło wszystkie jego członki. Znalazł się na łóżku w domu swej matki. Klara stała pochylona nad nim, opodal siedziała matka i Lotar.

— Och! Przecież! Przecież! Znowu mi przywrócony jesteś, jakże Bóg dobry! Już cię odtąd nie puszczę od siebie ani na chwilę, aż do śmierci! — mówiła Klara w łzawym uniesieniu.

Mówiąc to, otoczyła go białymi ramionami. On się rozpłakał łzami boleści i szczęścia.

— Klaro! Dobra moja! Jedyna moja Klaro! — wyjąkał.

W tejże chwili nadszedł Zygmunt, który go był sam zawiózł do domu. Nathanael wyciągnął do niego rękę.

— Drogi przyjacielu — rzekł mu — i tyś mnie nie opuścił.

Szaleństwo odeszło go było bezpowrotnie. Wkrótce, dzięki tkliwym staraniom matki, ukochanej i przyjaciół, całkowicie wróciły mu stargane silnymi wzruszeniami siły.

Jednocześnie powodzenie zdawało się wchodzić w dom wdowy. Umarł bez testamentu wuj jakiś, stary skąpiec, od którego nikt nigdy nic nie wyczekiwał, i dostał im się, oprócz znacznych kapitałów, jeszcze i majątek ziemski w pobliżu stołecznego miasta. Nathanael, mając wkrótce zaślubić Klarę, postanowił osiąść tam i wziąć do siebie matkę i Lotara. Stał się łagodny jak nigdy i po raz pierwszy w życiu poczuł się całkowicie szczęśliwy, poznawszy teraz dopiero: ile to nieba mieściło się w anielskiej duszy jego Klary. Prawda też, że nikt mu nigdy nie wspomniał o przeszłości. Zdawało się nawet, że sam od dawna zapomniał o wszystkim. Jednak raz przy odjeździe Zygmunta odezwał się niespodziewanie:

— Doprawdy Zygmuncie, gdzieś mi się już była zapodziała piąta klepka. Szczęściem na czas nadszedł anioł i nie dał mnie opętaniu: była to Klara.

Zygmunt zagadał jakoś tę drażliwą kwestię i na tym się skończyło.

Już wyjeżdżali do swojej posiadłości, kiedy wypadło jeszcze porobić niektóre sprawunki. Było południe, ogromna wieża ratuszowa pokrywała swoim cieniem cały rynek, pełen zgiełku.

— Wiesz co, Nathanaelu, — rzekła Klara — wejdźmy sobie na wieżę. Śliczny musi być stamtąd widok na dalekie góry.

Nathanael z chęcią przyjął ten wniosek. Matka odeszła ze służącą do domu, a Lotar przyrzekł czekać na dole.

Narzeczeni, trzymając się pod ręce, stali sobie na najwyższym ganku wieży i przyglądali się przecudnej panoramie lasów dalekich, poza którymi piętrzyły się jeszcze błękitne góry, podobne do miasta olbrzymów.

— Patrz, Nathanaelu — rzekła Klara — czy widzisz tam ten krzak szarawy, który zdaje zbliżać się coraz więcej?

Nathanael sięgnął ręką do kieszeni i, wyjąwszy lornetkę Coppoli, przyłożył ją sobie do oczu. O nieba! Ujrzał przed sobą postać Olympii!

Krew mu zbiegła do serca. Blady jak śmierć spojrzał osłupiałym wzrokiem w twarz Klary, z oczu sypnęły mu się płomienie i ryknął jak zwierz zewsząd osaczony. Nagle wyskoczył w górę i śmiejąc się śmiechem potępieńca, zaczął wołać głosem przenikliwym:

— Kręć się, lalko z drewna! Kręć się! Tańcuj, grzmij!

I porwawszy wpół Klarę, chciał ją zrzucić na dół, ale ona w rozpaczy wszystkimi siłami uczepiła się poręczy.

Lotar, usłyszawszy wycie szaleńca i krzyki Klary, bez namysłu rzucił się na schody wieży. Na drugim piętrze znalazł drzwi zamknięte, podsadził je i wyleciały z zawiasami.

— Ratunku! Ratunku!? — wołała Klara coraz słabszym głosem.

Lotar przelatywał po dziesięć schodów na raz. Drzwi wychodzące na ganek znalazł również zamknięte. Rozpacz dodała mu sił olbrzymich. Drzwi zgrzytnęły tylko i puściły, wywalając się z trzaskiem. Już też i czas był wielki, Klara bowiem przerzucona przez balustradę wisiała w powietrzu, trzymając się już tylko jedną ręką. W oka mgnieniu porwał ją Lotar, wciągnął z powrotem i w tejże chwili dał tak silny raz pięścią w twarz szaleńca, że ten, rażony jak gromem, natychmiast puścił swą ofiarę. Szaleństwo, Samobójstwo

Podczas kiedy Lotar zbiegał ze schodów, unosząc zemdloną siostrę, Nathanael jak opętany latał wokoło galerii, robiąc skoki najdziwniejsze i wrzeszcząc wniebogłosy:

— Kręć się płomieniste koło, hej ha! Hopsasa! Gwijunun!

Mnóstwo ludzi zbiegło się na rynek, nie wiedząc, co to wszystko znaczy. Pośród nich zauważono niejakiego Koppeliusa, adwokata świeżo przybyłego do miasta. Chciano biec na ratunek szaleńcowi, ale adwokat rzekł z uśmiechem:

— Ech, nie róbcie tego; zaczekajcie tylko cierpliwie, a on sam tu do nas zejdzie.

I patrzał w górę tak, jak i drudzy.

Nagle Nathanael zatrzymał się jakby wryty, przechylił się ponad poręczą i z wzrokiem utkwionym w Koppeliusa:

— Oczy, oczy! Prześliczne, cudowne oczy! — zawołał rozdzierającym głosem, i rzucił się w powietrze. Ale zanim jeszcze zdążył głowę sobie o bruk roztrzaskać, już Koppeliusa nie było.

IX.

W lat kilka po tej smutnej katastrofie, daleko gdzieś, daleko, widziano Klarę, siedzącą na ganku pięknego miejskiego dworku. Stał przy niej piękny mężczyzna, patrząc na nią z miłością. U nóg jej igrało śliczne dziecię, drugie trzymała na kolanach. Tak więc, jak się zdaje, słodka i wesoła Klara znalazła nareszcie ciche szczęście domowe, którego jej niespokojny duch Nathanaela dać nie zdołał.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/powiesci-fantastyczne-piaskun

Tekst opracowany na podstawie: E. T. A. Hoffmann, Powieści fantastyczne, T. II, red. Jan Lorentowicz, oprac. Antoni Lange, nakł. i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów, Skł. gł. w Księgarni E. Wendego i S-ki, H. Altenberg, Warszawa [ca 1913]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Śląską z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BŚ.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska.